



Krzysztof Gawlikowski

## ZAPISKI Z PAWILONU ODLATUJĄCEGO ŻURAWIA (II)

■ Często zadają mi pytanie: co spowodowało, że zainteresowałem się pan Chinami i został znawcą ich kultury? Spróbuję odpowiedzieć po chińsku, w duchu „wielości prawd”. Gdy kończyłem szkołę podstawową miałem już przeczytane wszystkie książki o Chinach, jakie byłem w stanie znaleźć w okolicznych bibliotekach i w domach prywatnych. Były wśród nich nawet publikacje dziewiętnastowieczne. W klasie ósmej szukałem już zatem książek o innych regionach i krajach Azji: o Japonii, Kurylach, Indiach, Persji, a nawet o Kaukazie.

Od dziecka lubiłem muzykę chińską. Moja mama wspominała, że jako mały szkrab nakazywała jej, aby koniecznie wołała mnie z podwórkowych zabaw, gdy w radio będą nadawać muzykę chińską. Pamiętam, że gdy jej słuchałem siedywałem na podłodze obejmując rękami kolanka, z głową opuszczoną i zamkniętymi oczami, by skupić się całkowicie na niej, wręcz wtopić się w nią.

Pamiętam też, że jedną z pierwszych moich przeczytanych książek były wykłady buddyźmu i życiorys Buddy. Mogłem mieć wtedy ze siedem lat, a książki te przetrwały wśród przedwojennych jeszcze książek ojca, cudem wywiezionych z Warszawy. *Biblię*, w pięknym starym wydaniu ze wspaniałymi rycinami etnograficzno-podróżniczymi i w przekładzie Wujka, przeczytałem dopiero ze dwa lata później, gdyż dopiero wtedy nabył ją od kogoś dziadek. Szczególnie podobał mi się jej język. Jakieś stare popularne streszczenie *Biblii* przygotowane dla dzieci przeczytałem zresztą już wcześniej.

Zazwyczaj na wigilię Bożego Narodzenia dzieci całej zebranej rodziny robiły przy kolacji „występy”. Raz śpiewałem przy takiej okazji „chińską piosenkę i to po chińsku” ze słowami naprędce wymyślonymi na podobieństwo zasłyszanych. Mogłem wtedy chodzić do trzeciej, czy czwartej klasy. Rysowałem też z upodoba-

niem „chińskie lampiony” z wymalowanymi chryzantemami i damami, wedle wyszukiwanych gdzieś rysunków. Nie mając żadnych możliwości uczenia się hieroglifów chińskich, a znalazłszy wskazówki do pisma hebrajskiego „z braku laku”, sam się go zacząłem uczyć, gdy miałem z dziewięć lat. Oto zatem odpowiedź pierwsza: dzieciak pasjonował się Chinami oraz Azją i to mu już zostało. Gwoli prawdy trzeba wszakże dodać, że interesowałem się też zwierzętami, a szczególnie ich życiem społecznym, fascynowały mnie zatem mrówki i pszczoły, a szczególnie te pierwsze bo bezpieczniej było je podglądać. Gdy miałem z dziesięć lat w wypracowaniu w szkole o tym, co każdy chciałby robić w życiu, napisałem, że *chciałbym badać zwierząt dziwne życie*. Zapamiętałem tę frazę dobrze, bo cała klasa ryczała ze śmiechu, gdy nasza pani głośno to przeczytała i potem tym mnie przedrzeźniano. Tak więc już wtedy wiedziałem, że chcę być badaczem.

Wyobrażałem sobie jednak badania jako obserwowanie czegoś i wyciąganie wniosków, a analizowanie obcych kultur było poza zasięgiem mojej wyobraźni. Dzieciak był zatem nader uparty i dość konsekwentny, a owe zainteresowania życiem mrowiska też nie wydają się tak zupełnie przypadkowe.

Moi birmańscy przyjaciele-buddyści stwierdziwszy, że nadspodziewanie dużo rozumiem w ich języku, bez uczenia się go, i potrafię „zachować się prawidłowo” bez czyjegokolwiek objaśnienia, zinterpretowali to w duchu swojej religii. Po prostu „dusza azjatycka” zabłąkała się przy kolejnej reinkarnacji do Europy. Stąd tak ciągnie ją do Azji i wszystko tam sobie zaraz przypomina. Dla wytłumaczenia spontanicznych prawidłowych zachowań nie trzeba jednak odwoływać się aż do reinkarnacji... Jeśli zna się *a, b, c, i d*, a dalej *g i h*, to jest też pewna szansa, że gdzieś się wstawi *e i f*.

Można by to też ująć jeszcze inaczej. Otóż jeden z wujów (braci mojej matki – objaśnienie dla młodzieży nie znającej terminologii rodzinnej) miał bardzo wyraźne, nieco mongolskie rysy twarzy, a moja siostra po urodzeniu przez kilka miesięcy była zwyczajnie żółta. Włoski miała blond, ale oczka i rzęsy czarne. Wszyscy sąsiedzi nazywali ją Koreanką, bo był to okres wojny w Korei i Koreańscy byli wtedy najbardziej znaną w Polsce nacją azjatycką. Nawet ojciec krępował się wtedy chodzić z dzieckiem i żoną na spacer. Porządna rodzina, a tu naraz żółte dziecko... Dopiero po kilku miesiącach ta „żółtość” jej zeszała. Kiedyś znalazłem starą rodzinną fotografię z mamą moją jako niemowlęciem: to było też takie „azjatyckie niemowlę”. Geny azjatyckie gdzieś się błąkały w rodzinie. Nasza prababka pochodziła z osady tatarskiej...

A teraz zabawna puenta. Gdy byłem mały, miałem ciągle kłopoty z dwiema czynnościami: nożyczki do cięcia trzymałem odwrotnie, niż należy, i obierałem jabłko (czy cokolwiek innego) „od siebie”, a nie jak to u nas przyjęte „do siebie”. W szkole i w domu byłem za to nieustannie rugany: „Krzysiu, rób to jak wszyscy”... Nawet kilka dwójek dostałem za to na pracach ręcznych. Gdy pojechałem na studia do Chin z największym zdumieniem stwierdziłem, że tak właśnie to

robią wszyscy Chińczycy! Oczywiście wiem, że raczej mało jest prawdopodobne, by sposób trzymania nożyczek mógł być warunkowany genetycznie. Odnotowuję tylko tę zaskakującą koincydencję.

A teraz jeszcze zupełnie inne objaśnienie: intelektualne. Na studiach, a nawet jeszcze wcześniej, interesował mnie rozwój człowieka i jego życia społecznego oraz kultury. Już na pierwszym roku moich studiów psychologicznych stało się dla mnie jasne, że większość twierdzeń ogólnych o człowieku, jakich uczyłem się na Uniwersytecie Warszawskim dotyczy tylko „białego człowieka”, który sformułował je na podstawie swoich ograniczonych doświadczeń. Chiny różnią się zaś zasadniczo od Zachodu, najbardziej ze wszystkich kultur. Zatem chcąc sformułować jakąkolwiek tezę ogólną o człowieku i społeczeństwie, by sprawdzić, czy rzeczywiście dotyczy ona całego rodzaju ludzkiego, wystarczy sprawdzić, czy dotyczy też Chińczyków. Jeśli tak, to istnieją duże szanse, że będzie też prawdziwa wobec Indusów, Eskimosów, czy Indian. Dlatego też postanowiłem studiować równoległe kulturę chińską i język chiński. Nie bez znaczenia był też unikalny chiński zbiór źródeł pisanych z niemal czterech tysięcy lat i fakt przetrwania tej starożytnej kultury do dziś jako jedynej, jeśli nie liczyć Żydów, którzy jednak utracili swe państwo i tradycje swe zachowywali tylko częściowo, w diasporze.

Z perspektywy swojej dzisiejszej wiedzy dodałbym, że ściśle związki cywilizacji zachodniej i muzułmańskiej, czy też indyjskiej są naturalne: dwie pierwsze formowały się przecież jak bliźnięta syjamskie na bazie wspólnych tradycji basenu Morza Śródziemnego, dorobku grecko-rzymskiego i wiary w tego samego Boga-Jahwe zapisanej we wspólnej im *Biblii*. W formowaniu cywilizacji indyjskiej odgrywali zaś kluczową rolę Ariowie, wywodzący się z tego samego pnia wspólnych praindoeuropejskich przodków, koczujących gdzieś nad Morzem Czarnym, zapewne po jego północnej stronie. Dlatego na podstawie analizy indyjskich *Wed* można rekonstruować wierzenia religijne Prastłowian, a nawet imiona ich bogów. Ludy te, ze swoją wojowniczą kulturą nomadów, przynależały do kultur wielkiego pasa stepowego Eurazji, ciągnącego się od Węgier aż do Mandżurii, gdzie cyrkulowały nie tylko innowacje, czy symbole, ale i idee. Dopiero cywilizacja chińska, która rozwinęła się samoistnie i we względnej izolacji od splatających się kultur zachodniej i południowej Eurazji stawia nas wobec zasadniczej odmienności dróg rozwojowych, przynajmniej od końca neolitu.

\* \* \*

Pan dr D. opowiadał gronu naukowemu o Korei Północnej, zresztą z wielką swadą i znanstwem. Rysował obraz społeczeństwa totalnie zniewolonego i żyjącego w warunkach „systemu, który oszalał” i wykorzenił najbardziej elementarne odruchy ludzkie. Prelegent co prawda tego nie powiedział, ale było to dość oczywiste dla słuchaczy: wszystkie te aberracje wprowadził w Korei reżim ko-

munistyczny! W rzeczywistości większości owych „okropieństw komunistycznych” funkcjonuje nie tylko w Korei, ale we wszystkich krajach regionu i to od setek, a niekiedy i tysięcy lat, choć w rozmaitych formach i skali. Byłyby one aberracją, gdyby Koreańczycy przed okresem „tyranii Kim Ir Sena” żyli tak, jak współcześni Niemcy, Szwedzi, czy Polacy, mieli te same standardy i oczekiwania. I tak to sobie zazwyczaj wyobrażają nie tylko Polacy, ale i inni ludzie Zachodu. Natomiast sami Koreańczycy odnoszą swój stan dzisiejszy do istniejącego dawniej, a politykę swoich władz odnoszą do tamtejszych standardów oraz norm.

Jak odmienne bywają te wyobrażenia, najlepiej pokazuje sławny film Fidyka o paradzie w Phenianie, na którym ukazany został trening jednostek, by wtapiały się w wielki kolektyw, jak też cały sztafaż megalomańskiej, fasadowej parady. W Polsce był on odbierany jako opowieść o „rzeczywistości monstrualnej”. Gdy zakupiono go jednak do antykomunistycznej Korei Południowej, zaraz go wycofano, gdyż budził on tam podziw dla północnego sąsiada i fascynację „tak dobrze zorganizowanym życiem społecznym rodaków”. Oglądali go bowiem nie indywidualistycznie nastawieni i nieco anarchiczni Polacy, lecz Koreańczycy wychowani w tradycji konfucjańskiej, zaczynający dzień pracy wspólnie odśpiewywanym hymnem swej firmy i przyjmujący za rzecz oczywistą, że każdy jest śrubką w wielkim mechanizmie społecznym.

Pan D. opowiadał, że na pierwszym miejscu stawiana jest w KRLD miłość do partii i kraju, a miłość do dziewczyny – na odległym, choć jest dopuszczalna. Jednakże wszelkie jej opisy, czy ilustracje w literaturze i filmie są tępione. W rezultacie nawet polskie filmy z epoki PRL były tam cenzurowane i wycinano z nich niektóre fragmenty. Profesorowie na sali słuchali, kiwali głowami i myśleli zapewne: horror!

Prelegent nie dodał jednak, że miłość między chłopakiem a dziewczyną nie była opiewana w Azji Wschodniej jak w Europie, ani podnoszona do rangi ideału. Tam nikt nie mógłby twierdzić, że „Bóg jest miłością”. Konfucjanizm za naczelne przyjmował obowiązki, a wszelkie uczucia potępiał jako szkodliwe dla porządku społecznego. Wedle obyczaju małżeństwo aranżowała rodzina, a pan młody poznawał żonę dopiero podczas nocy poślubnej. W literaturze pięknej opisywano więc raczej miłostki i przygody, niż wielkie namiętności i wzniosłe uczucia.

\* \* \*

Moja studentka opowiedziała mi następującą historyjkę. Jej koleżanka chciała sobie wytatuować frazę „Boże otwórz oczy moje” w różnych językach, w tym i po japońsku. Słuchaczka moich wykładów rozumiała, że z takim stwierdzeniem pewnie będą kłopoty w Azji Wschodniej, ale nie przypuszczała, że aż tak wielkie. Zapytała przez internet znajomego Japończyka. Odpowiedział jej, że zupeł-

nie nie rozumie, o co tu chodzi. Najpierw chciał by mu wyjaśnić, do jakiego bóstwa chce się ona zwrócić, do bogini Amaterasu, czy innego bóstwa naczelnego, może do buddyjskiej bogini Kannon, albo do bóstwa lokalnego... Nie rozumiał też co ma znaczyć owo „otwarcia oczu”. Prawdy głębokie pojmuję się wszak umysłem i w tym celu „czyni go pustym”. W medytacji oczy się wręcz zamyka, by nie przeszkadzały w poznaniu. A oświecenia nikt nam przecież nie jest w stanie dać, uzyskuje się je samemu, przewyciężając własne ograniczenia, stopniowo, w drodze doskonalenia przez tysiące wcieleń albo zstępuje ono nagle, jak twierdzi buddyzm zen.

Wschodnioazjatycki odpowiednik tej frazy mógłby zatem brzmieć następująco: „Niech osiągnę oświecenie”. Ale trzeba pamiętać, że oświecenie przynależy do stopnia Buddy. A posiadanie takich szaleńczych ambicji wyklucza oświecenie. Jest to więc zdanie bezsensowne, którego nie sposób zrozumieć ani przełożyć.

Koleżanka była niepocieszona, że nie da się zdobyć tej frazy po japońsku. I nie bardzo wierzyła, że to nieprzetłumaczalne. Zapewne pomógłby miejscowy chrześcijanin, ale to nie przyszło na myśl obu paniom... Różne nieprzetłumaczalne frazy chrześcijanie azjatyccy jakoś przecież transponują do swoich języków i kultur. Na przykład znane zdanie z *Ewangelii: Na początku było Słowo*, tłumaczono w Chinach: *Na początku było tao*, bo dawnej myśli tamtejszej obcy był termin „słowo”. Wprawdzie stworzono tłumaczenie dlań z języków zachodnich, ale nie ma ono nic z mistycznych podtekstów Słowa z tradycji zachodniej.

\* \* \*

21–22 maja 2001 r. odbyło się w Sejmie pierwsze polsko-chińskie sympozjum parlamentarzystów na ogólnie sformułowany temat: *Spoleczeństwo – jednostka – państwo*. Było ono rezultatem zabiegów ministra Władysława Bartoszewskiego o odbudowę normalnych stosunków Polski z Chinami. Przez wiele lat wpływowe kręgi polskich elit politycznych ulegały bowiem obsesjom antyrosyjskim i antykomunistycznym wykoślawiającym im obraz rzeczywistości. W rezultacie znaczący polscy politycy i dość liczni dziennikarze traktowali Chiny wciąż jako państwo komunistyczne, godne tylko potępienia, nie przyjmując do wiadomości, iż kraj ten należałoby raczej zaliczyć do postkomunistycznych, podobnie jak Rosję, Bułgarię, czy Polskę, choć w każdym z tych krajów przemiany idą innym torem. Minister Bartoszewski starał się o przywrócenie w naszej polityce zagranicznej naczelnej roli interesu narodowego i eliminację przejawów antykomunistycznego mesjanizmu, lansowanego wciąż przez część byłych środowisk dysydenckich. Rozumiał on też, że Polska ubiegając się o członkostwo w Unii Europejskiej musi prowadzić politykę zbliżoną do unijnych pryncypiów, nie zaś wysuwać postulaty zasadniczo z nimi sprzeczne. Unia stara się zaś rozwijać współpracę polityczną i gospodarczą tak z Rosją, jak i Chinami, doceniając przeprowadzane w obu tych krajach trudne

przemiany, które – rzecz jasna – jak w każdym kraju mogłyby być bardziej efektywne i postępować szybciej. Nadzwyczajny rozwój gospodarczy Chin, przy wielkości tego kraju, nadaje szczególne znaczenie stosunkom z nimi.

Sympozjum to zostało uzgodnione podczas pierwszej po latach wizyty ministra spraw zagranicznych Chin, Tang Jiayuana, w grudniu 2000 r. I było oczywiście faktem znaczącym, iż polski Sejm nawiązał formalny dialog z Ogólnochińskim Zgromadzeniem Przedstawicieli Ludowych (OZPL) – swym chińskim odpowiednikiem, w sprawie praw człowieka. Oznaczało to przecież, iż traktuje OZPL jako partnera, nie zaś wroga, zasługującego co najwyżej na potępienie i propagandowe połajanki, często oparte na nieznamości podstawowych faktów. Niestety, niewielu posłów wzięło udział w tym sympozjum, a kierownictwo Komisji Spraw Zagranicznych nie zadbało o przekazanie zawczasu polskim uczestnikom podstawowych informacji o Chinach współczesnych i o zasadniczych historyczno-kulturowych różnicach w traktowaniu tam społeczeństwa, jednostki oraz państwa. Jednakże sam Czesław Bielecki, przewodniczący Komisji, z ich istnienia zdawał sobie dobrze sprawę, podobnie jak wicemarszałek Jan Król z Unii Wolności. Dodajmy, że Chińczycy byli przygotowani do tego spotkania znacznie lepiej i o wiele więcej wiedzieli o Polsce, niż Polacy o Chinach.

W istocie na spotkaniu tym jedynie chwilami dochodziło do dialogu, wymagającego przecież pewnego zrozumienia dla stanowiska drugiej strony. Zazwyczaj każda ze stron „mówiła swoje” niezbyt zwracając uwagę na partnera. I dotyczyło to obu stron. Przykrym zgrzytem było wystąpienie posła H.W., też z Unii Wolności, z potępieniami Chin za okupację Tybetu i prześladowania tamtejszych patriotów w tak histerycznym tonie, jakby jego oświadczenie miało służyć propagandowemu uzasadnieniu bombardowania Chin przez lotnictwo NATO już nazajutrz. Dyplomaci chińscy jako ludzie dobrze wychowani i znający sytuację polską, udali, że nie zauważyli ani jego zaciętrzewienia, ani zupełnej ignorancji w sprawach Tybetu, rozumiejąc przecież dobrze, że ten poseł może naciskać co najwyżej guziki swego domofonu w dość prowincjonalnym i niewielkim mieście Warszawie, nie zaś guziki odpalania rakiet w kwaterach NATO.

W toku obrad uwidoczniły się rozmaite różnice kulturowe, tym bardziej interesujące, iż po stronie chińskiej w dyskusji uczestniczyły głównie osoby lepiej czy gorzej znające Zachód, a po stronie polskiej także badacze Azji.

Chiński delegat wykpiwał radośnie, na przykład, rzekomo mało demokratyczne wybory George’a W. Busha na prezydenta w USA, wskazując, iż przecie głosowała na niego mniejszość Amerykanów. Nie rozumiał on najwidoczniej zupełnie, iż demokracja polega nie tylko na głosowaniu i ustalaniu, za kim opowiada się większość, lecz nade wszystko na ścisłym przestrzeganiu odpowiednich procedur prawnych. W tym zaś przypadku to właśnie respektowanie formalnych procedur i kolejne wyroki sądowe zapewniły sukces Bushowi. Ignorowanie tego aspektu porządku demokratycznego wydaje się dość powszechne wśród Chiń-

czyków, skądkolwiek by oni nie pochodzili z Hongkongu, Tajwanu, ChRL czy Singapuru. Odrzucenie dowodu przestępstwa ze względu na brak dopełnienia procedur formalnych (na przykład zezwolenia na rewizję), co podważa jego legalność – jest dla nich trudne do pojęcia. Bez tradycji prawnej Zachodu trudno im przychodzi zrozumienie nawet samej koncepcji „legalności” i fundamentalnego znaczenia odpowiednich procedur dla jej określenia. Z drugiej zaś strony, bez tradycji logicznej języków indoeuropejskich, trudno im zrozumieć zdania warunkowe i hipotetyczne typu: gdyby koło było kwadratem, to by miało cztery kandy. Koło jest okrągłe i basta. Kantów więc nie ma i mieć nie może! Co z tego, że ktoś tam nie wypisał zezwolenia na przeszukanie samochodu zabójcy, jeśli znaleziono w nim nóż z krwią ofiary. Jak możemy tego nie uwzględniać przy wydawaniu wyroku, kiedy już o tym wiemy? Przyjmują zazwyczaj, że wyrok sądu musi opierać się na „prawdzie materialnej”, a nie na „prawdzie procesowej”, zgodnej tylko z jakimiś procedurami. Jak sąd może zdecydować, że mniejszość jest większością? Problem procedur będzie jeszcze przez dziesiątki lat czynnikiem utrudniającym bardzo budowanie i umacnianie porządku demokratycznego w całej Azji Wschodniej.

Po stronie polskiej pani prof. S. usiłowała nader błyskotliwie przekonać Chińczyków, że wprowadzenie wielopartyjnej demokracji w ChRL jest absolutnie niezbędne dla legitymizacji tam władzy. Zakładała ona bowiem, że w Chinach, tak samo jak we współczesnej Europie, władze nie wyłonione w wyborach przez społeczeństwo są dość powszechnie uznawane przezeń jako „rządzące bezprawnie”. Oczywiście nie kłopotowała się ona też zupełnie, jak z użytymi przez nią terminami i koncepcją poradzi sobie tłumacz przekładający przeciw wystąpienia polskie na język chiński. Intelktualiści zachodni rzadko zdają sobie sprawę z takich barier językowo-kulturowych. Tłumacz wprawdzie był świetny, lecz dużej części jej wywodów nie był w stanie przetłumaczyć, a jedynie próbował je przekazać przez omówienie. Patrzyłem na miny Chińczyków, do których docierały jakieś ułamki jej rozumowania. Jedno było zapewne dla nich jasne: bez wielopartyjnych wyborów w Chinach ich władze nie będą cieszyły się prestiżem. Oni odnosili to do areny międzynarodowej i nic w tym nie było dla nich nowego: obecne władze mają oddać rządy jakimś marionetkom ulubionym przez Zachód, bez względu na konsekwencje tego kroku dla Chin, chaosu jaki zapanuje, buntów, wojen domowych i utracenia szans na dobre warunki życia oraz szybkie dorównanie Zachodowi. Dla nich byłby to powrót do poniżenia, dawnej nędzy i stanu kolonialnej dominacji mocarstw nad Chinami, z czego ich kraj wyrwał się z największym trudem przez XX w. Wszak nie ma w Chinach jakichś alternatywnych sił, które chciałyby i mogłyby sprawować władzę. Komu należałoby zatem ją oddać? Odpowiedź, że trzeba pozwolić na uformowanie się tych nowych sił, dla nich była absurdalna, bo oni zdawali wszak sobie sprawę, iż najprawdopodobniej największe wpływy zdobyliby wtedy rozmaici konserwatyści

i nacjonaści, zaś ekipa modernizująca szybko kraj, przegrałaby tę konkurencję. Oni wiedzieli dobrze, iż intelektualne grupki postulujące pogłębienie demokratycznych przemian i zacieśnienie współpracy z Zachodem – są nieliczne i pozbawione wszelkich szans. Trudno im zatem było wyobrazić sobie, że owa pani profesor naiwnie sądzić może, iż to na nich masowo zagłusuje chłopstwo, wciąż stanowiące blisko 70% społeczeństwa. Jakże w kraju dość tradycjonalistycznym powszechne wybory mogą wygrać modernizatorzy łamiący w imię unowocześnienia kraju dotychczasowe normy, wyobrażenia i obyczaje, jak też układy sił?

Ona nie pomyślała nawet, że stosunek Chińczyków do swych władz określać mogą inne czynniki niż u Polaków czy Amerykanów. Idea legitymizacji władzy, choć w myśli chińskiej znana od starożytności, nie miała oczywiście aspektu prawnego i nie opierała się na uznaniu jej „legalności”, lecz swoistego „tytułu moralnego”. W tradycji konfucjańskiej decydowały o tym trzy współwystępujące warunki: a) „mandat Nieba” gwarantujący, iż rządzący nie tylko utrzymują ład z jego nadania, lecz i kierują się w swym postępowaniu zasadami moralnymi oraz dobrem ludu; b) właściwe wypełnianie przez władze ich podstawowych zadań; c) poparcie ich przez lud. Nawet w super nowoczesnym Hongkongu, z dochodem na głowę wyższym niż w Wielkiej Brytanii i wyższym też poziomem wykształcenia, te konfucjańskie ideały rządów paternalistycznych, „ojca i dzieci”, zwierzchników dbających przede wszystkim o dobrobyt poddanych, ale i liczących się z ich opiniami, cieszą się wciąż dużą popularnością. Podobnie też jest w bogatym Singapurze. W samych Chinach, wciąż w dużym stopniu większych, występuje to o wiele jeszcze jaskrawiej.

Kluczową zatem sprawą dla Chińczyków jest, czy władze zapewniają dobrobyt, czy są w stanie zapewnić spokój i bezpieczeństwo (ścigając wszelakich bandytów i buntowników), czy stwarzają warunki do zdobywania edukacji – tam wciąż wysoko cenionej, i wreszcie – czy utrzymują ład moralny, przede wszystkim eliminując funkcjonariuszy nazbyt przekupnych i uciskających lud. Obecnie coraz bardziej znaczącą rolę odgrywa też wysłuchiwanie ludu i liczenie się z jego opiniami. Łamanie tych zasad delegitymizuje władze, nie zaś brak „mandatu wyborców”, obcego tamtej tradycji. Przypomnijmy, że u ludów indoeuropejskich (oraz innych pastersko-koczowniczych) obieranie władców przez wojowników-obywateli jest prastarym obyczajem, w różnych formach praktykowanym od epoki neolitu! U nich także od starożytności występowały rozmaite zgromadzenia i przedstawicielstwa. Nowoczesna „demokracja wyborcza” jest tylko najnowszą formą realizacji tych zasad. W Azji Wschodniej natomiast mandat na rządzenie otrzymywało się natomiast „z góry”: od Nieba, od władcy, od mędrców i starszyzny, czy też dziedziczyło się na zasadzie starszeństwa, nigdy zaś – od „ludu”. Brakło tam też zupełnie tradycji pluralizmu w jakiegokolwiek sferze, w tym politycznej i ideologicznej. Nie było zupełnie tradycji współzawodniczących ze sobą „partii” i stronnictw, w Europie żywej już od starożytności. Zatem w Chinach po dziś

dzień kluczową rolę odgrywa „władca najwyższy”, obecnie prezydent i szef partii rządzącej, gdyż to niejako z jego mandatu władzę sprawują wszyscy inni. Można zatem analizować, czy odpowiednio „wiarygodna” jest nominacja jego samego, a nie budzi wątpliwości, że „namaścił” go Deng Xiaoping. Takie czcigodne mianowanie jako „najlepszego” umacnia jego prestiż, nie osłabia. Można też pytać, czy władze wypełniają swe funkcje? Odpowiedź nie jest już tak całkowicie jednoznaczna, ale społeczeństwo uznaje w zasadzie, iż swe zadania władze wypełniają w stopniu dostatecznym. Najwięcej krytyki budzi rozkwit przestępczości i demoralizacja aparatu władzy. Zatem rozlega się donośne wołanie o surowe ściganie i karanie, nie zaś o łagodność. Przywódcy i organizatorzy wszelkich buntów są tam od tysiącleci uznawani za podłych przestępców słusznie ściganych przez władze.

Postulaty pani profesor znający Zachód Chińczycy mogli zrozumieć, choć z trudem, ale musiały się im one wydawać „zupełnie księżycowe”. Mogły jedynie wynikać z niezrozumienia sytuacji chińskiej albo wręcz z niecnym zamiarom zahamowania rozwoju Chin i wtrącenia znowu Chińczyków w nędzę. Pani profesor wiązała swe postulaty z „prawami osoby ludzkiej”, nie zastanowiwszy się nawet, czy w Chinach funkcjonuje pojęcie „osoby” i jej przyrodzonych „praw”. Z tą zachodnią koncepcją Chińczycy stykają się obecnie często, choć jest im ona najzupełniej obca i trudna nawet do wyrażenia po chińsku. Wywodzi się ona bowiem z judeo-chrześcijańskiej, indywidualistycznej i legalistycznej, tradycji ujmowania człowieka, obcej dziedzictwu konfucjańsko-buddyjskiemu. Dla członków delegacji chińskiej było to chyba typowe „zachodnie bredzenie”, ukochane przez „białasów”.

Prof. Z. obruszył się z kolei na Chińczyków za wykonywanie w tym kraju wyroków śmierci, przypominając im o „świętości życia ludzkiego”. Choć przecież wie, że na gruncie buddyzmu należy chronić wszelkie życie, tak komara, kury, jak i człowieka, a każda istota ma przed sobą tysiące wcieleń, nieustanne trwanie w bytach świata, czy też – wedle taoizmu – raz jako człowiek, raz jako wąż, wąż, łapka karalucha czy peonia. Nadzwyczajny szacunek dla ludzi w tradycji judeo-chrześcijańskiej i ich wyniesienie nad wszystkie stworzenia znalazły już wyraz w opowieści o stworzeniu ich na obraz i podobieństwo Boże, ale przecież Chińczycy nie wyrastają w tej tradycji! Mówca zdawał się też nie rozumieć, że rezygnacja rządu z tej kary byłaby tam prawdopodobnie jego ostatnią decyzją: odmawiając pokazowego karania utraciłby on moralny tytuł do władzy, szczególnie w sytuacji przerażającej społeczeństwo erupcji przestępczości, która wystąpiła po załamaniu się reżimu komunistycznego. Chińczycy nie musieliby nawet odwoływać się do odmienności filozoficznych w ujmowaniu znaczenia życia jednostki, a mogliby przypominać, że w USA też się wykonuje tę karę, a i w Polsce kwestia ta nie jest wcale bezsporna.

Pan dr K. krytykował z kolei Chiny za słabości systemu sądowniczego, co delegaci chińscy rozumieli dobrze. Wszak rozmaite nieprawidłowości systemu sądowniczego są tam często piętnowane w prasie i przez władze. Przeprowadza się rozmaite kontrole, szkolenia dla sędziów i ich weryfikacje... Ale przecież system sądowniczy zaczęto tworzyć dopiero od podstaw na przełomie lat 70. i 80. Wciąż brakuje odpowiednio wyszkolonych kadr i pieniędzy. Choć potakiwali, myśleli zapewne: *to cud, że udało się do dziś zbudować nawet taki system*. On krytykował szczególnie brak niezależności sędziów od władzy wykonawczej, ale to niezbyt niepokoiło naszych partnerów. Przecie wymiar sprawiedliwości i karanie przestępców „od zawsze” były jednym z obowiązków organów administracji państwowej. Obecnie składy sędziowskie są nominowane przez władze terenowe lub centralne, odpowiednio do rangi sądu, a nadzór nad nimi sprawuje Ministerstwo Sprawiedliwości. Koncepcja trójpodziału władz w całej Azji Wschodniej budzi rozmaite wątpliwości i w praktyce nie jest zbyt przestrzegana, a władza wykonawcza wszędzie dominuje. Delegacja chińska nadspodziewanie mocno deklarowała jednak, przynajmniej w teorii, akceptację równowagi władz w systemie ich trójpodziału oraz zasadę wzajemnej kontroli: *w tym kierunku zmierzamy...*

Nadspodziewana zbieżność poglądów wystąpiła w kwestii społeczeństwa obywatelskiego. Tak delegaci chińscy, jak i poseł Bielecki byli tu zadziwiająco zgodni, że to podstawa nowoczesnego ładu społecznego i politycznego. Zasadnicze różnice zaczynały się przy wykładni istoty społeczeństwa obywatelskiego. Polski intelektualista i polityk za kluczową kwestię uznawał możliwość wyboru. Deklarował też z zadziwiającą pewnością siebie, iż *Chińczycy pragną różnie się ubierać, jeść, a także myśleć!* Jakby całe życie spędził na rozmowach z chińskimi chłopami. I jakby nigdy nie był choćby na ulicy w Tokio i nie widział tłumy niemal tak samo ubranych mężczyzn. Dla niego było oczywiste, iż każdy chce odróżnić się od innych, a społeczeństwo niejako naturalnie przeciwstawia się władzom, także kwestionując nieustannie ich deklaracje. Zapewne nie znał on koncepcji prof. Tu Weiminga z Harvardu, że jednym z podstawowych elementów chińskich tradycji polityczno-społecznych jest dążenie do życia we „wspólnotach zaufania” (*fiduciary community*), w których członkowie wierzą swoim przywódcom. Zatem owej zachodniej tendencji stałego przeciwstawiania się władzom i nieufności wobec nich nie znajdzie się w całej „Azji konfucjańskiej”. Delegat chiński tłumaczył, że państwo, społeczeństwo obywatelskie (*gongmin*) i społeczeństwo (*shehui*) są strukturami homogenicznymi (*yizhide* – dosłownie: bez różnic, identyczne, zgodne ze sobą) i współzależnymi, a sytuacja jednostki jest wyznaczana przez nie. Tłumaczył: *Jeśli państwo i społeczeństwo nie są bogate, to i jednostki też nie mogą żyć dostatnio; jeśli w dużej rzece nie ma wody, to i w kanałach jej nie będzie*. Prymat przyznawał jednoznacznie państwu i dobru społecznemu, nie interesom i pragnieniom jednostki. Podobne stanowisko zwykle też reprezentują Japończycy i Koreańczycy, gdyż wynika to ze wspólnych konfucjańskich tradycji.

Termin *gongmin*, którym oddaje się zachodnie pojęcia „społeczeństwo obywatelskie” i „obywatel”, znaczy dosłownie: lud (albo ktoś z ludu) występujący publicznie, wspólnotowo. „Lud” przeciwstawiany jest zazwyczaj „rządzącym”, chodzi zatem o publiczne funkcje zwykłych ludzi oraz ich działania dla dobra wspólnego. „Społeczeństwo” (*shehui*) jest z kolei pojmowane jako „społeczność zorganizowana”, zaś „państwo” (*guojia*) – jest prawdopodobnie najpowszechniej dziś rozumiane jako kierownictwo i instytucje zwierzchnie społeczeństwa, zarządzane przez elitę rządzącą, czy też jego funkcjonariuszy. Pojęcie narodu, też przejęte z Zachodu, interpretowano w Azji Wschodniej przez dziesięciolecia jako „wspólnotę krwi”, podobną do klanu, ze wspólnymi, czczonymi przodkami. W Chinach za takiego „praprzodka” wszystkich Hanów – „etnicznych Chińczyków” – uznano Huangdi, Żółtego Cesarza. Miał on rzekomo panować w IV tysiącleciu p.n.e. i od niego próbowano nawet liczyć „erę chińską”, gdy wprowadzono zaczęto liczenie lat „na sposób zachodni”. Przyjęto wtedy 3698 r. p.n.e. za pierwszy rok ery chińskiej”. U mogiły Żółtego Cesarza, w powiecie Huanglin, w prowincji Shaanxi, odbywają się co roku tłumne zgromadzenia w jego „urodziny”, a na Tajwanie czasami nawet jeszcze współcześnie pojawiają się „wydawnictwa patriotyczne” tak datowane. „Rodak” (*tongbao*), to dosłownie rodzony brat (lub siostra), z tej samej macicy (odróżnianie brata, czy siostry, od innej matki było ważne w związku z często praktykowanym wielożeństwem). Koncepcje narodowe wzorowane były zatem długo na rodowych, z „władcami”, czy „przywódcami” wyobrażanymi jako „ojcowie ludu”, którym winien on bezwarunkowe posłuszeństwo i oddanie w duchu konfucjańskim. Nawet za czasów reżimu komunistycznego w Chinach przyjmowano w istocie specyficzną wersję tego typu ideologii, kładącą nacisk na wspólnotę „ogólnochińską”, polityczno-ideową, ponad etnicznym różnicowaniem „rodziny chińskiej”, na Hanów, Ujgurów, Tybetańczyków i kilkadziesiąt innych narodowości. Nowe koncepcje narodu jako „wspólnoty obywateli”, z przysługującymi im prawami i swobodami, zaczęto upowszechniać dopiero w latach 90. XX w., w epoce Jiang Zemina. Te same pojęcia nie zawsze są więc podobnie rozumiane, a państwo kieruje społeczeństwem we wszystkich aspektach określanych tymi różnymi terminami. W tym rozumieniu „społeczeństwo obywatelskie”, termin dopiero teraz wchodzący w Chinach w użycie, i „państwo” nie stanowią zatem w wyobrażeniach chińskich odrębnych podmiotów, lecz dwa aspekty funkcjonowania i organizacji zbiorowości w ramach kraju.

Po dziś dzień ideałem społecznym w całej Azji Wschodniej jest też „harmonia i zgoda”, podczas gdy walki, obrona interesów partykularnych i przejawy indywidualizmu, określane jako ciasna prywatna i egoizm, spotykają się z potępieniem chyba że sytuacja wymaga zbiorowego protestu. Sprawa wyboru, u nas zakotwiczona między Dobrem lub Złem i walce ich w duszy ludzkiej oraz w koncepcji wolnej woli, tam nigdy nie była rozważana. Jeśli ideałem była za-

wsze i wszędzie harmonia i jedność, w tym i „jedność ideowo-moralna narodu”, to ideałem nie mogły być posiadanie odmiennych, własnych poglądów. W tym aspekcie wyobrażenia posła Bieleckiego o Chińczykach były nazbyt europocentryczne. Tam, podobnie jak w krajach ościennych, wciąż zdaje się przeważać tradycyjne pragnienie by być „takim jak inni”. Jednym z kluczowych zadań modernizatorów na Tajwanie jest obecnie nauczanie ludzi samodzielnego myślenia i wyrażania własnych poglądów oraz pragnień. Ale wcale nie jest to łatwe. Nawet na uczelniach w całej Azji Wschodniej nie było w zwyczaju dyskusowanie studentów z wykładowcą, czy choćby zadawanie mu pytań. Student miał pilnie wykuć to, co mu podawano, i basta. Zgłaszanie własnych wątpliwości uznawano za niegrzeczne, niestosowne i niepotrzebne. Dopiero w ostatnich latach władze zaczynają dążyć do zmiany tej sytuacji i wprowadzenia metod wychowawczych kształtujących samodzielną aktywność.

W Chinach obecnie nikt nie zabrania ludziom myśleć i mówić, co tylko chcą. Ograniczenia pojawiają się dopiero przy rozpowszechnianiu jakichś poglądów w prasie, telewizji, czy na konferencji prasowej dla cudzoziemskich dziennikarzy, i nie wszystkie z tych ograniczeń wiążą się jedynie z politycznymi rygorami systemu autorytarnego. Choć w Polsce nikt nie wsadziłby do więzienia za to redaktora naczelnego, nie sadzę, by pan Roman Giertych przez lata demokratycznej Polski mógł liczyć na prezentację swoich poglądów w najbardziej poczytnych dziennikach, jak „Gazeta Wyborcza” czy „Rzeczpospolita”, albo też na państwowych, czy prywatnych kanałach telewizyjnych. Szefowie i właściciele mediów w każdym kraju dokonują pewnej selekcji prezentowanych poglądów zgodnie ze swoją „linią”. Trzeba też pamiętać, że w związku z szacunkiem dla władz i rolą państwa, we wszystkich krajach Azji Wschodniej media są o wiele mniej „buntownicze” niż na Zachodzie, a dziennikarze liczą się z władzami o wiele bardziej. Dodajmy, że w Chinach nie ma cenzury prewencyjnej jako urzędu i systemu kontroli, a nadzór polityczny sprawują nad mediami organy partyjne. Ich rola jednak niepomiernie zmalała w latach 90. wraz z rosnącą rolą rynku i reklamodawców. To czytelnicy i odbiorcy decydują bowiem w istocie, czy jakiś tytuł ma powodzenie, czy nie, a władze polityczne wcale nie mogą wedle swej woli interweniować we wszystkich mediach równie skutecznie.

Wszystko zatem jest niepomiernie bardziej skomplikowane niż się to wydaje naiwnym krytykom „reżimu komunistycznego w Chinach”, nie chcących dostrzec zasadniczych odmienności tradycji zachodnich i wschodnioazjatyckich. Ze względów politycznych odmienności tych nie chcemy dostrzegać w Japonii, czy Korei Południowej, a w przypadku Chin wiążemy je aż nazbyt często jedynie z tamtejszym „systemem komunistycznym”. Nie chcemy zaś nawet dostrzec, że większość z nich zrodziła się jeszcze w starożytności, gdy nawet praprababka Marksa nie miała jeszcze w planach jego pradziadka, i występuje, choć w rozmaitej skali, we wszystkich krajach regionu. Chiny kontynentalne wbrew pozorom ulegają

obecnie w sferze obyczajowej i mentalnej o wiele szybszej i radykalniejszej okcydentalizacji niż kraje sąsiednie od dziesięcioleci pozostające pod wpływami amerykańskimi.

Byłoby na pewno użyteczne, by nasi politycy i parlamentarzyści częściej odwiedzali Chiny i rozmawiali o ich problemach z tamtejszymi politykami, a wtedy przekonaliby się, że mimo wszelkich odmienności Polska i Chiny zmagają się z tymi samymi w istocie problemami. Zobaczyliby też wtedy, jak bardzo ten kraj odbiega od ich wyobrażeń i jak szybko się unowocześnia. A gdyby jeszcze nasi dziennikarze częściej pisali o realnych, nie zaś wywiedzionych z ideologicznych schematów, problemach tego kraju – cieszyć by się można jeszcze bardziej.

\* \* \*

W jednym z sierpniowych numerów magazynu „Rzeczpospolitej” pewna Pani Redaktor opisywała Birnę i swoją podróż do tego kraju. Potępiała, rzecz jasna, tamtejszą dyktaturę wojskową, istotnie mało sympatyczną. Stwierdziła ona wszakże, iż to obecna dyktatura wypędziła ludność ze starej stolicy Paganu, po której pozostały jedynie setki wspaniałych świątyń rozrzuconych wśród pól i zarośli. W rzeczywistości ludność opuściła tę stolicę w XIII stuleciu w związku ze zbliżaniem się wojsk mongolskich. Zapewne pomyliło jej się coś z Kambodżą i wypędzaniem ludności przez Czerwonych Khmerów z Phnom Penh. I jedno miasto na literę p i drugie. Czy to wielka różnica? Niestety podobna niefrasobliwość w traktowaniu faktów dotyczących Azji jest u nas nagminna, szczególnie gdy służy „godnemu celowi” piętnowania dyktatorów.

Już myślałem, że trzeba by tej publikacji przyznać tytuł „azjatyckiej bzdury roku”, alści w „Plusie i Minusie”, niedzielnym dodatku „Rzeczpospolitej” (22–23 września 2001 r.), Jarosław Gowin, w interesującym skądinąd i mądrym artykule, napisał: *Z faktu, że np. myśl chińska w ogóle nie operuje kategorią substancji, bez której niepodobna mówić o osobie w zachodnim sensie tego słowa, nie można jednak wyciągać wniosku, iż w imię pluralizmu kulturowego mamy godzić się z tym, że w Państwie Środka opozycjonistów przerabia się na kosmetyki... Zachód ciągle ma polityczne i gospodarcze środki, by promować ideę praw człowieka.* Jest to nonsens podobny, jak stwierdzenie, że w Polsce każdego Żyda i Murzyna, którzy wyjdą na ulicę, zabija się na miejscu pałkami. Co byśmy powiedzieli na takie oskarżenia naszego kraju i czy poważnie potraktowalibyśmy postulaty likwidacji takich antysemitycznych i rasistowskich praktyk? Czy posunęliby to choćby o krok zwalczanie niekwestionowanych przecież w Polsce przejawów rasizmu i antysemityzmu? Chronić jednak Panie Boże przed takim promowaniem praw człowieka! Czy chcąc zozydzić Polakom komunizm, trzeba to robić na wątpliwym nader przykładzie Chin, a jeśli już nawet, to czy trzeba wypisywać tak piramidalne bzdury? Czy nawet jeśli ktoś bardzo nie lubi generała Jaruzel-

skiego ma moralne prawo by opowiadać, że zjadał on co dzień na śniadanie tatara z jednego niemowlęcia? Niestety, nie jest to przypadek odosobniony. Największe bzdury o Chinach znajdujemy właśnie jako takie zdania wtrącone, w artykułach poświęconych innym sprawom, u autorów nigdy nie zajmujących się Azją. Odbija to stan niewiedzy, a może nawet ściślej zaciętrzewionej ignorancji części naszych elit intelektualnych w sprawach Azji, a szerzej – cywilizacji niezachodnich. Postawy takie występują wprawdzie i w rozwiniętych krajach Zachodu, jednak rzadziej, a intelektualistom nie uchodzi tam tak pomiatać krajami pozaeuropejskimi i oskarżać je o wszystko, co tylko da się wymyślić.

Oto inny przykład takiej ignorancji. Podczas eleganckiego obiadu siedziałem obok osoby z „wysokiego urzędu”. Zgadało się jakoś o konfucjanizmie i mówiłem o rozmaitych pożytkach z wpajania młodzieży azjatyckiej jego norm moralnych. Mój rozmówca stwierdził zatem z troską: *No, to musi Pan Profesor uważać będąc w Chinach, z takimi poglądami zdarzyć się może jakieś nieszczęście...* Najwidoczniej nie miał pojęcia, że potępienia konfucjanizmu uprawiano głównie w epoce „rewolucji kulturalnej”, a od lat tę doktrynę traktuje się w Chinach niemal jako „narodową”, że wpaja się ją w szkołach, a na uniwersytetach na miejsce usuniętych posągów Mao w latach ostatnich ustawiano dość powszechnie figury Konfucjusza. W bezradnej irytacji, nie bacząc, że może się poczuć urażony, zapytałem, czy do swego urzędu wracać będzie okopami, czy może czołgiem, by bezpiecznie dotrzeć do biura, kule niemieckie wciąż przecież świszczą... Najpierw go zatkało, a potem przytomnie zauważył, że powstanie warszawskie skończyło się lata temu. Wtedy mu uprzytomniłem, że w Chinach „rewolucja kulturalna” i potępienia Konfucjusza też skończyły się ponad trzydzieści lat temu... Niestety nie tylko on nie chce przyjąć do wiadomości przemian w tym kraju w ostatnich dziesięcioleciach.

\* \* \*

1 kwietnia 2001 r. nad Morzem Południowochińskim doszło do kolizji chińskiego myśliwca i amerykańskiego samolotu zwiadu elektronicznego. Nowo wybrany prezydent George W. Bush w pospiesznym tempie musiał się uczyć, jak ważnym dla USA partnerem są Chiny i ile wysiłku kosztuje zawarcie z nimi jakiegos porozumienia w konfliktowej sprawie. Politolodzy rozważali konsekwencje tego wydarzenia dla areny dalekowschodniej. Moją uwagę zaś zwrócił następujący szczegół: otóż po raz pierwszy w dziejach Chin podjęto wtedy gigantyczne, zupełnie na modłę zachodnią, dwutygodniowe poszukiwania ludzkiej jednostki – straconego pilota chińskiego, Wang Weia. Zgoda, że uczyniono to poniekąd w celach propagandowych licząc na wywołanie efektu za granicą, by pokazać, jak wielką tragedią jest utrata tego bohatera dla narodu, ale w kraju nadano temu także wielki rozgłos. Nigdy jeszcze nie poświęcono w Chinach tak wielkiej uwa-

gi i tyle wysiłków tysięcy ludzi oraz tak ogromnych sum na ratowanie jednostki, z nadzieją odnalezienia jej żywej. Już Herodot wskazywał, że właśnie troska o jednostkę i gotowość wyruszenia dla niej nawet z wyprawą wojenną różni najbardziej Greków od Azjatów (myśląc głównie o tych z Azji Przedniej). Oto chyba najbardziej spektakularny przykład z lat ostatnich przejmowania przez ChRL standardów zachodnich w rozmaitych dziedzinach, w tym przypadku koncepcji wartości życia jednostki i dbałości o każdego obywatela.



## OBYCZAJE



Katarzyna Pejda

## MIŁOŚĆ W POEZJI CHIŃSKIEJ; KLASYCZNA POEZJA SHI I NOWOCZESNA BAIHUA Z LAT 1917–1942

W poniższym artykule postaram się opisać różnice w przedstawianiu miłości w poezji klasycznej *shi* i nowej poezji *baihua*, której autorzy znaleźli się pod wpływem poezji zachodniej. Spróbuję także wyjaśnić przyczyny niewielkiego zainteresowania poetów klasycznych tematem, który był tak popularny w poezji zachodniej.

W 1917 r. Hu Shi i Chen Duxiu opublikowali na łamach magazynu „Nowa Młodzież” (*Xin qingnian*) artykuł, w którym wzywali do tworzenia „nowej literatury”. Głosili oni, iż współcześni autorzy powinni posługiwać się językiem potocznym *baihua*, a nie tak jak dotychczas językiem klasycznym *wenyan*. Odejście od tradycji kontynuowali twórcy związani z reformatorskim Ruchem 4 Maja. W krótkim czasie język potoczny zajął miejsce klasycznego. Nastąpiło otwarcie na literaturę zachodnią – wielu młodych twórców miało okazję studiowania za granicą. Kolejną bardzo istotną cechą nowej chińskiej literatury było stanowcze potępienie konfucjanizmu i tradycyjnego ładu społecznego, odrzucenie starych, skostniałych form literackich, poszukiwanie nowych środków wyrazu. Jednym z przykładów tych zmian może być, zupełnie odmienne niż w poezji klasycznej, podejście do tematu „miłość”.

Zheng Zhanfei, w artykule *Zachodnia miłość, chińskie qing. Filozoficzna interpretacja idei miłości w „Romeo i Julii” i w „Liang Shanbo” i „Zhu Yingtoi”* („Journal of Chinese Philosophy”, vol.26, s.471), twierdzi, iż w chińskiej literaturze klasycznej zwrot kocham cię (*wo ai ni*) w ogóle się nie pojawiał, a słowa i frazy takie jak romans (*lian'ai*), miłość (*aiqing*), oraz kochać (*ai*) zostały użyte po raz pierwszy w tekstach literackich pomiędzy 1900 a 1918 r., kiedy to został opublikowany nowy poemat Lu Xuna *Bóstwo miłości* (*Ai zhi shen*). W poezji klasycz-